TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50

DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 42. *Chicago, Ills., 15 Kwietnia, 1886 r.* Rok II.

OPACTWO CARROW

— PRZEZ —

J. F. SMITH

Z ANGIELSKIEGO

CZĘŚĆ DRUGA:

KWIAT ALOESU.

(Ciąg dalszy.)

Wstrząśnięto sznur mocniej niż pierwszym razem; ale choć minuta opóźnienia mogłaby zniweczyć zamiar ucieczki, choć przyjaciele zewnątrz zabudowań więziennych niecierpliwili się, zbójca nie opuścił swej ofiary, aż podeptał nogami bezwładnego już starca. Żałował niezmiernie, że nie miał noża; nigdy bowiem w życiu nie doznawał podobnego zadowolenia; zapomniał nawet o niebezpieczeństwie, jakie mu groziło.

Ale bo też tą ofiarą był kat, który mu stryczkiem groził, który zimno obliczał zapłatę krwawą, i już rękę ściągnął do jego szyi.

— Może mnie jeszcze powieszą, — pomyślał sobie, — ale już nie Mat Cowls zarzuci mi stryczek na szyję!

Kopnąwszy jeszcze raz ostatni martwego kata, zbójca chwycił się sznura i niebawem dostał się na wierzch muru. Dalej robota łatwą już była; spuścił się po sznurze i ujrzał się wolnym.

Ajent i dwóch ludzi dobrze uzbrojonych czekali na niego.

— Cóż u licha tak długo robiłeś? — zapytał go szanowny pan Dawids, — zdawałoby

się, że ci tak żal opuścić więzienie jak innym wchodzić do niego!

— Szpiegano mnie!

— Kto taki?

— Kat! stoczyliśmy z sobą bój śmiertelny! Chciałem go przekupić, ale nie przyjął złota, pragnąc koniecznie mieć przyjemność powieszenia mnie na szubienicy; tak więc...

— Zabiłeś go?

— A tak, rzeczywiście.

— Dobrześ uczynił!... Czyś tylko pewny, że już nie żyje?...

— Chybaby u niego życie trwalsze było niż u kota!

Ajent miał to przekonanie, że nie należy tracić chwili. Sideler bowiem mógł się omylić; kat odzyskawszy przytomność, narobiłby hałasu. Zdjąwszy płaszcz z siebie, okrył nim zbiegłego więźnia i włożył mu czapkę futrzaną na głowę.

— Chodź więc ze mną, a nie piśnij słowa!

Z jak największą szybkością zwrócili się ku mostowi Blackfriars, gdzie oczekiwał pojazd zaprzężony czwórką silnych koni.

Pan Dawids wepchnął Sidelera i sam usiadł obok niego, dwaj drudzy towarzysze zostali na ulicy.

— Do Dowru! — zawołał ajent.

Pocztylion trzasnął z bicza, a pojazd pomknął z pospiechem mogącym udaremnić wszelkie ściganie. Na każdej stacyi konie były już przygotowane do przeprzęgu; wszelkie przeszkody przewidziano i usunięto; tym sposobem przybyli bez żadnej przerwy w podróży do portu.

W hotelu Marynarki zostali czekającego już na nich sługę Mirana.

Pan jego nakazał mu, aby odwiózł Sidelera do Marsylii, i ztamtąd okrętem miał go wyprawić do Indyi.

Wielki rozruch powstał między urzędnikami odbywającymi służbę w obrębie więzienia w Newgate, gdy z rana odkryto ucieczkę więźnia.

Gubernator surowo badał dozorców; ale całe śledztwo żadnego skutku ani wyjaśnienia nie przyniosło w tym względzie. Mike, czyli właściwie Mat Cowls, jak go teraz już nazywać będziemy, został przeniesiony do sali dla chorych przeznaczonej; chociaż niemiłosiernie potłuczony i pognieciony, żył jeszcze.

— Ja mu już nie poradzę! — rzekł chirurg patrząc na obrzękłą i do niepoznania zranioną twarz kata, — żadne lekarstwa tu już nie pomogą.

— Nie!... nie! ja nie umrę. — szeptał chory jęcząc żałosnie, — ja żyć będę! muszę żyć, aby tego łotra powiesić! Próbuj, doktorze, próbuj mnie wyleczyć.

Lekarz wziął się do kuracyi, a Mat Cowls dotrzymał przyrzeczenia; pozostał przy życiu. Zobaczymy w ciągu tej opowieści, czy wykonał zemstę, której tak usilnie pragnął.

XXII.

Natłok Anglików cisnących się z paszportami do podpisania, zalegał bióro poselstwa angielskiego w Paryżu. Przepisy dotyczące paszportów, daleko surowsze były wówczas, niż podziśdzień. Wśród ciżby odznaczał się młody człowiek z bladą twarzą, którego rysy nosiły ślady smutku i utrudzenia widocznego. Wszelako czarne jego oczy pałały jakąś energią niezwykłą i silnem panowaniem nad osłabieniem fizycznem.

Młodzieniec ten był w żałobie; dawny to nasz znajomy, Henryk Ashton.

Ponieważ w paszporcie wyrażonem stało, że był członkiem ciała dyplomatycznego, przeto załatwiono bezzwłocznie konieczne farmalności, uwalniając go tym sposobem od powtórnego trudzenia się do ambasady i podpis Jego Ekscelencyi posła angielskiego natychmiast został położony.

Kilku gentlemenów, którzy już długo czekali, sarkali na to pierszeństwo, nie pojmując czemu je przypisać.

— Ja dwa razy przychodziłem! — rzekł jeden.

— Ja także! — dodał inny. — Mój interes nie cierpi zwłoki.

— Idzie dla mnie o śmierć lub życie! — zawołał trzeci.

Był to zacny rektor Carrowskiej parafii.

Na dźwięk tego znajomego głosu, dawny jego uczeń szybko się obrócił. Poznali się natychmiast.

— Henryku!

— Mój dobrodzieju!

Podali sobie wzajemnie dłonie, ściskając je serdecznie.

— Dzięki Bogu! moje dziecię drogie, — przemówił rektor, znajduję cię tutaj. To mi

oszczędzi długiej i nużącej podróży. Ale źle wyglądasz, musisz być słaby... i co widzę? w żałobie! Więc już się dowiedziałeś?

— Wiem o wszystkiem, — odpowiedział młodzieniec usiłując przytłumić swoje wzruszenie, — ale chciej mi pan powiedzieć...

Tak miał serce żałością ściśnione, że dalej nie mógł domówić.

— Ona zdrowa! — rzekł rektor domyślając się o co chce pytać Henryk. — Zostawiłem ją pod opieką jej wuja, pułkownika Mowbray.

Wyraz wdzięczności wyrwał się z ust młodzieńca; chociaż nie miał sympatyi do brata zmarłego swego dobroczyńcy, nie domyślał się jednak wcale, aby ten był zdolny nikczemnie sprzyjać zamiarom jego współzalotnika.

Miejsce gdzie się spotkali, nie było stósownem do wzajemnych zwierzeń i wyjaśnień; ale przed oddaleniem się do hotelu, Henryk uzyskał podpis dla swego poważnego przyjaciela.

Ci tylko, którzy doznali straty drogich osób w czasie rozłączenia się z niemi, zdołają wrażenie, z jakiem Henryk Ashton słuchał opowiadania szczegółów tyczących się śmierci zamordowanego baroneta. Byłoby to ulgą dla niego. gdyby mógł płakać; nie miał łez dla swojej strasznej boleści.

— Nie sądź pan, żem niewdzięczny, obojętny! — odezwał się podnosząc krwią nabiegłe oczy na swojego towarzysza. — Może wtedy będę mógł płakać, gdy pomszczę się jego zgonu! Czy nie ma jakiego śladu dającego mi sposobność ścigać zbójcę aż do tej kryjówki, gdzie się chowa, wyrwać go z niej i wydać w ręce sądu, wśród przekleństwa całego świata!

Rektor opowiedział mu, jak pan Elworthy w towarzystwie starego Marcina i Joego udał się do biblioteki i po starannem przetrząsaniu odkryto tajemne wyjście do sklepu podziemnego, gdzie znaleźli torbę myśliwską Sidelera.

— Cóż się w niej zawierało? — zapytał Henryk.

— Listy bardzo dawnej daty, dowodzące, że sir William był srodze oszukany pod względem postępku swojej nieszczęśliwej małżonki, i że właśnie ten sam Sideler był użyty jako narzędzie do tej komedyi haniebnej. Ale trudno było wytłumaczyć sobie, jakim sposobem te listy tam się dostały!

— Mniejsza o to, ja to już wyjaśnię!

I w krótkich słowach skreślił swojemu staremu przyjacielowi, co go spotkało w Rzymie; zdradliwe podejście i zeznanie ajenta Miran-Hafaza, znalezienie lady Mowbray, zabójstwo Waltera, i nakoniec swoje własne podejrzenie, że ten młodzieniec był synem nieboszczyka baroneta.

— Nie sądzę, aby tak było! — rzekł doktor Orine po długim namyśle.

— Dla czegoż by to było nieprawdopodobnem?

— Ponieważ pamiętam doskonale ożenienie się pułkownika, bardzo nawet przeciwne woli sir Williama, i urodzenie syna, właśnie tego samego Waltera, które poprzedziło o rok cały przybycie na świat syna baroneta.

Jakkolwiek wszystkie te wyjaśnienia zwięźle tylko były podane z braku czasu, udzieliły jednak nieco otuchy nieszczęśliwemu narzeczonemu miss Elleny, że jest zdrowa, że Joe Beans i Zuzanna przy niej się znajdują, a wiedział że się może spuścić na wierność i odwagę towarzysza swych lat dziecięcych.

Pomimo nalegań rektora, strwożonego nie żartem o zdrowie naszego bohatera, Henryk postanowił jak najspieszniej wyjechać do Calais. Chętnie byłby dał połowę życia swego za to, aby skrócić czas i przestrzeń, dzielącą go jeszcze od Anglii.

Przejeżdżając przez bramę Saint Denis, rektor pierwszy raz wymówił imię Mirana. Przywiązanie jego do dawnego ucznia wielką przejmowało go obawą na myśl o spotkaniu się Henryka z Indyaninem.

— Nie wymawiaj jego nazwiska, panie! — zawołał Henryk, silnie ściskając jego ramię. — Kiedy do ostatniej kropli wytoczę krew tego złoczyńcy, który z zimną krwią i bez wyrzutów sumienia umie mordować, kiedy serce jego nogami zdepcę, kiedy oddam sprawiedliwości ofiarę jedyną, która ją zadowolić może, wtedy dopiero będę mógł obojętnie słyszeć wymówione to imię.

Przybyli do Calais bardzo późno w nocy. Doktor Orine ulegając usilnym namowom swego młodego towarzysza, położył się do łóżka, aby nieco odpocząć, albowiem statek, którym odpłynąć zamyślali dopiero o szóstej godzinie zrana miał odbić od przystani.

Jakkolwiek doznane cierpienia moralne i fizyczne dosyć były silne, aby utrudzić i nadwątlić

ciało choćby żelazne, Henryk nie mógł usnąć; gorączka trawiąca serce jego, odpędzała sen. Owinąwszy się płaszczem podróżnym, bo noc dosyć była chłodna, przeszedł przez rynek i zbliżył się na plac wolny i obszerny koło portu, gdzie się gromadzą przybywający i odpływający podróżni. Wiatr północny chłodził rozpalone lica jego; znajdował coś pokrewnego między wrzącemi w nim uczuciami, a wściekłością bałwanów morskich; szmer fali, rozbijających się o wybrzeże przystani z głuchym łoskotem, uspakajał niejako burzę jego serca, tęsknotą i zemstą na przemianę szarpanego.

Tak przeszedł parę razy tam i nazad wzdłuż przestronnego wybrzeża, gdy spotkał oficera od marynarki w angielskim mundurze, który mu się uważnie przypatrywał, ale nasz bohater zaledwo dostrzegł, że kto więcej prócz niego przechadzał się w tem miejscu.

— Niepodobna, abym się mylił, — rzekł w duchu oficer.

Drugi raz przeszli obok siebie.

— Jakto, Henry Ashton! — zawołał przy trzeciem spotkaniu, — czy mnie nie poznajesz?

Młody podróżny podniósł oczy i poznał syna pewnego gentlemana, którego majętność graniczyła z Carrowem. Będąc dziećmi, bawili się razem z drugimi małymi rówieśnikami na błoniu do gminy należącem.

— Fred Sucking! jeżeli się nie mylę, — zawołał nasz bohater....

— Oczywiście, że zgadłeś! — odparł młody człowiek, ściskając serdecznie rękę dawnego sąsiada. — Niewymownie cieszę cię tem spotkaniem po tak dawnem niewidzeniu się z tobą! Czy wracasz ze mną?

Henryk spojrzał na niego nie zrozumiawszy zapytania.

Porucznik Sucking objaśnił mu, że to on ma pod swem dowództwem statek za kilka godzin odpływający.

— O tak, tak... wracam z tobą! — odparł Henryk skwapliwie, — i jeżeli ci miłe wspomnienie wspólnych naszych igraszek dziecinnych, mój drogi Fred, każ rozpuścić wszystkie żagle i nie szczędź żadnych usiłowań, aby jak najrychlej dostać się do brzegów Anglii! Niecierpliwość mną miota, aż stanę na ojczystej ziemi.

— Nie obawiaj się, — rzekł mu porucznik, — przeprawimy się prędko. Wiatr dmie pomyślny, a mały okręt, którym mam zaszczyt dowodzić, godny jest najszlachetniejszej służby... Ale teraz pokój panuje. Harry — dodał, — jeżeliś miał jaką przygodę niemiłą, jakie zajście z władzami tutejszemi, możeby lepiej było abyś natychmiast wsiadł ze mną na statek. Skoro raz staniesz pod banderą starej Anglii, jesteś bezpieczny!

— Prawda, że mi spieszno opuścić Francyę, ale nie dla powodów takich, o jakich mówisz.

Oficer nie nalegał dłużej.

— Na uczciwość, spotkanie nasze jest osobliwsze! — rzekł po długiem milczeniu, w czasie którego towarzysz jego zamyślony, machinalnie szedł obok niego; — ale jeszcze dziwniejsze dzisiaj mi się zdarzyło, i to także znajomość z Carrowa.

Henryk spojrzał na niego jakby z zapytaniem o znaczenie tych słów...

— Tak jest... czy uważałeś tego człowieka, siedzącego samotnie na końcu grobli portu?

— Prawda; to jest, zdaje mi się żem go widział przechodząc tamtędy.

— A poznałeś go?

— Nie.

— A przecież to człowiek bardzo dobrze znany nam dawniej.

— Któż to więc, na miłość Boga?

— Hultaj, który nas często spędzał z błonia i z lasów Carrowa; ale teraz nie będziemy mu przecież tego pamiętać.

— Jak się nazywa? — zapytał Henryk, rozciekawionym wzrokiem poglądając na niego, — dla Boga! nie trzymaj mnie dłużej w niepewności!

— Will Sideler, dozorca królików, — odrzekł oficer zdziwiony, myśląc, że jego towarzysz rozum postradał. — Mówiłem do niego ale nie zdawał się mnie poznawać. Daruj mi otwartość moją, drogi Harry, ale wyglądał tak szalony jak ty w tej chwili, a może jeszcze więcej, bo nieustannie machał rękami i mruczał niezrozumiałe wyrazy. Może zresztą, był tylko pijany.

— To krwią musiał się upić! — zawołał gwałtownie nasz bohater, — krwią swej ofiary, dobrego, szlachetnego sir Mowbraya, bo koniecznie przeczuwam, że to on go zabił! Fred, musisz mi dopomódz w aresztowaniu tego człowieka!...

— Aresztować go? — powtórzył porucznik, który słyszał o śmierci baroneta, ale nie podejrzywał wcale Willa Sidelera o to skrytobójstwo.

— Tak jest, — mówił dalej Henryk, — pojmiemy go i odprowadzimy do Anglii.

— Czy nie byłoby stosowniej udać się do władzy sądowej?

— Aby złoczyńcy dać czas umknąć! — przerwał Henryk zniecierpliwiony. — Nie, nie! trzeba działać natychmiast! Szatan, który go użył za narzędzie jest bogaty! Nie zaniedbałby żadnych środków, nie żałowałby złota, aby oszukać sądy. Ja biorę na siebie całą odpowiedzialność.

— Ty, a zkąd do tego przychodzisz?

— Tak, ja to uczynię, doktor Orine jest sędzią pokoju, jak ci zapewne nie tajno, a on jest moim towarzyszem podróży.

Sucking wiedział o przychylności ojcowskiej dobrego pastora dla Henryka Ashton, któremu, jak mówiono w okolicy, większą część swego mienia chciał zapisać. Zaczął teraz mniemać, że jego dawny kolega nie tak szalony jak sądził z początku.

Dla przekonania czy się oficer nie mylił, Henryk owinął się płaszczem, tak żeby sobie twarz ukryć. Młodzieńcy zbliżyli się w milczeniu aż do krawędzi grobli, gdzie się znajdował zabójca; wiatr rozwiał mu siwiejące włosy; czapka podróżna, którą mu dał był ajent, leżała na ziemi. Złoczyńca był widocznie miotany silnym niepokojem. Wódka, którą wypił po wylądowaniu, do głowy mu uderzyła.

Stojąc zwrócony ku brzegom rodzinnego kraju, wyobrażał sobie, że widmo jakieś daje mu znak, aby wracał.

— Morze nas dzieli, — mruczał, nie wrócę się już! Poczułem raz rękę katowską około mej szyi, ale umknąłem! Teraz bezpieczny jestem!.. bezpieczny zupełnie!... Wołaj, wzywaj! — dodał rozśmiawszy się szalenie, — pokazuj ranę otwartą w szyi, nikt nie dowiedzie, że to ja ci ją zadałem, a choćby się dowiedziano, tutaj już bezpieczny jestem!...

Henryk ścisnął ramię swego towarzysza.

— Przekonałeś się? — przemówił doń z cicha.

— Najzupełniej! Ale słuchajmy jeszcze.

Zbójca znowu mówił, pijany groził pięścią jakiemuś urojonemu przeciwnikowi:

— Ty mnie ścigać nie możesz, morze cię nie zaniesie!... Ach, Boże! woda w krew zmieniona! Mściciel mnie ciągle ściga! Ja nie chcę, by mnie schwytano!...

Nędznik przerażony widmami, które wyrzuty sumienia wywołały mu przed oczy, rzucił się na ziemię i zasłonił oblicze rękami.

— Czy możesz mi więc odmówić twej pomocy? — zapytał Henryk porucznika.

— Nie zaiste! ale należy działać ostrożnie, bez wszelkiego hałasu. Za godzinę będzie schwytany i bezpieczny na pokładzie mojego statku; ale muszę przywołać kilku z moich ludzi.

— Gdzie ich znajdziesz?

— W karczmie, pod Zamkiem Dowru, niedaleko poczty. Ty zostań tutaj, miej na oku tego człowieka, aż wrócę z moimi majtkami...

XXIII.

Nazajutrz o drugiej z południa, statek Polly zarzucał kotwicę przed portem Dowru, mając na swym pokładzie zabójcę, pod strażą doktora Orine i Henryka Ashton, a w kilka minut później wylądowawszy, dwa powozy szybkim pędem uwoziły ich w kierunku Carrowa.

— Za przybyciem naszem, cóż zrobimy z jeńcem? — zapytał Henryk. — Czy poszlemy go zaraz do twierdzy Norwich?

— Być może, — odpowiedział rektor, — ale tymczasem znajdę dla niego nocleg bezpieczny.

— A to gdzie?

— W starej wieży kościoła carrowskiego. Nie pierwszy to raz służyć będzie za więzienie. Podczas rewolucyi wielu obywateli było tam zamkniętych.

Chociaż dwaj słudzy strzegący Sidelera nie chcieli odpowiadać, dokąd go wieziono, i co najdziwniejsza, pomimo że odzyskał w części siły swoje, nie próbował uciekać. Być może, iż w tem spotkaniu z Henrykiem Ashton upatrywał palec Boży, i przewidywał, że wszelki opór byłby nadaremny. Zasypiał kilkakrotnie w czasie podróży, ale rysy jego tak strasznie wówczas się zmieniły i okropnego nabierały wyrazu, że towarzyszący mu słudzy tego widoku znieść nie mogli i budzili go natychmiast.

Zbójca miał sny dręczące.

— Dziękuję wam, — mówił, ile razy szarpnięto go za kołnierz od sukni, — ja nie chcę spać, bo mi sen wszelką odbiera odwagę...

Ach, James! — dodał, poznawszy w jednym z swych towarzyszów stangreta doktora Orine, rodem z Carrowa, — to niedobra sprawa! Co też u nas o mnie mówią?

Pragnął się dowiedzieć, czy rozgłos powszechny oskarżał go już o morderstwo sir Williama Mowbray; ale barczysty woźnica nie miał wcale ochoty do gawędki i uporczywe zachowywał milczenie.

— Cóżto, nie będziesz odpowiadał? — ryknął Sideler, wściekając się z gniewu.

Milczenie ciągłe.

— Przekleństwo tobie! Dokąd mnie wiedziesz?

— Na szubienicę! — odrzekł nakoniec zniecierpliwiony James. — Nie krzycz tak głośno, przybędziesz na czas!

Nieszczęśliwy jęknął boleśnie i pochylił głowę. Już nie wypytywał się więcej przez dalszy ciąg podróży.

XXIV.

Pan Elworthy, Joe Beans, Zuzanna i Khan zgromadzili się w bibliotece na plebanii; mistress Jarmy, dawna ochmistrzyni domu nieboszczyka baroneta, także znajdowała się przy nich, kiedy dwa powozy pocztowe pędem wjechały na dziedziniec.

— Ach, nadjeżdża rektor! — zawołał pan Elworthy.

— Master Harry! — rzekł Joe z radosnym okrzykiem, poznawszy wybladłą twarz swego panicza i przyjaciela, i zapominając w uniesieniu radości o wszystkiem innem, wybiegł powitać przybyłego.

Pierwszy raz od wielu tygodni, uśmiech rozjaśnił rysy Henryka Ashton, kiedy ściskał dłoń Joego Beans.

— Muszę się wypłakać! — odezwał się poczciwy chłopak, usiłując na próżno ukryć łzy, które mu twarz zalały, — inaczej serce by mi pękło. O Harry, master Harry! gdzież byłeś przez cały czas? A ja pisywałem dzień po dniu, nie mogąc się doczekać ani słówka odpowiedzi, by się choć dowiedzieć, czy jeszcze żyjesz. Niechciałbym myśleć, żeś o mnie zapomniał, znałem cię nadto dobrze, aby tak sądzić o tobie, ale...

— Wszystkie listy, jakie do mnie pisano przejęte zostawały; bez wątpienia i te, które ja wysyłałem do Anglii, temuż losowi ulegały.

— Nie tutaj pora i miejsce do wzajemnych wyjaśnień, — przerwał pan Elworthy, równie w myślach, jak i w postępowaniu swojem porządek aż do zbytku posuwający, — wiele mamy do opowiedzenia i bez wątpienia, dużo rzeczy także się dowiemy... Ale kogoż to nam panowie przywozicie? — dodał, wskazując na drugi pojazd.

— Stara to znajomość, jeżeli się nie mylę, — odparł rektor, — skoro pan raz zobaczysz tego jegomości, sądzę, że nie będzie potrzeba polecać go względom pańskim.

W tej chwili zatrzymał się drugi powóz i otworzono drzwiczki. Najpierw wysiadł James, stangret, następnie Will Sideler i drugi służący. Wykrzyk grozy i wstrętu przywitał zbrodniarza.

— A to co? dla Boga! — krzyknął prawnik, który nie czytając przez parę dni dzienników, nie wiedział nic o ucieczce królikarza; — jakim sposobem ten człowiek wyszedł z Newgate?

W kilku słowach opowiedziano mu, co się stało w czasie ich przeprawy ze stałego lądu do Anglii. Adwokat radził odesłać go natychmiast do więzienia.

— O nie, — odezwał się Khan, — kiedy go los tu przysłał, niech tu zostanie. Jak biedny stary Marcin odzyska przytomność umysłu, co za kilka godzin nastąpi, to może zechce rozmówić się z tym łotrem.

Do tej chwili Will Sideler okazywał się obojętnym w obec nieprzyjaciół co go otaczali; ale na dźwięk głosu renegata zbladł widocznie. Zdawało mu się, jakby czuł zbliżającą się chwilę odwetu.

Z wielkiem zgorszeniem piwniczego Nichollsa, odprowadzono zbójcę do piwnicy, dodawszy mu straż z trzech ludzi, i zamknięto za nim mocne drzwi dębowe.

Biedny doktor Orine! z jakiemże zadowoleniem rzucił się w swoje ulubione karło! Zdawało mu się, że wszystkie jego członki ze stawów powychodziły, że wszystkie kości ma poroztrząsane, tak go zmęczyła ta podróż; ale się nie użalał, bo przecież uczeń jego ukochany, syn przybrany był znowu przy nim.

Nim się rozeszli, ułożono, że operacya, mająca na celu przywrócenie zdrowych zmysłów Marcinowi, odbędzie się bez dalszej zwłoki, i że na dzień następny zawezwą pułkownika Butler,

urzędnika który tyle okazał gorliwości przy śledztwie zabójstwa sir Williama Mowbray, oraz sprowadzą dwóch znakomitych chirurgów z Norwich, nazwiskiem Martineau i Dalxymple.

Pomimo przedstawień rektora, Henryk koniecznie pragnął zaraz udać się do Home-Farm.

— Moje drogie dziecię, — rzekł doń sędziwy przyjaciel, — po tem wszystkiem coś ucierpiał przez tyle czasów...

— A ileż nie wycierpieli moi stryjostwo poczciwi? Po własnej niespokojności mogę ich troski ocenić! Muszę iść do nich, wszak to moja najświętsza powinność!...

— Masz słuszność, nie myślałem o ich niepokoju, jak po większej części czynią ludzie, o sobie tylko pamiętałem. Dobra noc, kochany synu, niech cię Bóg błogosławi!... Że ten chłopiec zawsze słusznie mówi, — dodał, — gdy jego uczeń wyszedł już w towarzystwie Joego, aby się udać na folwark. Ten ostatni zaledwie słówkiem pożegnał Zuzannę, tak mu pilno było ujrzeć się sam na sam z Henrykiem.

— Master Harry! — przemówił doń, skoro weszli na długą drożynę, wijącą się między płotami i prowadzącą do dworku Home-Farm, — w chwili twego wyjazdu za granicę, przyrzekłem ci czuwać nad miss Elleną.

— Prawda, mój dobry Joe.

— Nie gniewaj się, jeżelim nie dopełnił wszystkiego, com obiecał. To nie wina mego serca, które zawsze było dobre, ale mojej głupiej głowy. Powinienem był go zabić...

— Kogo zabić?

— Miran-Hafaza! byłbym to uczynił, gdybym był pewny, że to zgadza się z twem życzeniem. Teraz byłbyś już szczęśliwy.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

DWIE MARYE.

POWIEŚĆ Z DAWNYCH CZASÓW POLSKICH

PRZEZ

FR. XAW. TUCZYŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

— Do djabła, — rzekł jeden z nich po godzinnem czekaniu, — już piekielnie nudno. Już też wreszcie i czas, aby tam dał znak, gdyż to już pewno po północy.

— I mnie także niecierpliwość pobiera, ale musimy na każdy przypadek zaczekać do końca, — rzekł drugi młodzieniec. — Powiedz mi, Pawle, jak ci się zdaje, czy nam wyprawa się uda?

— Mój bracie, — rzekł zagadniony Paweł, — ja ani tak, ani siak nie myślę. U mnie przysłowiem: plunąć w garść i szabelką wrogowi na karku zadzwonić... a przytem nie mam czasu do myślenia. Naturalnie, lepiejby było zaraz Różewiakom szablą ognia w ślepiach skrzesać, niż tam spuszczać się na jakieś fortele. Nieprawdaż Janie?

— Prawda i nieprawda, — odrzekł Jan, — już on tam pewno dobrze obmyśli, bo przecież Skirmunt nie tak łatwo da się w pole wywieść.

— Tak, tak, Skirmunt jest stary ćwik,

a Jerzy chłopak co to ha!.. ale nuż się mu cała sztuka nie uda? Cóż wtedy zrobimy? A gdybyśmy byli zaraz uderzyli, jakeśmy tu przyjechali... mój ty jedyny Boże!.. cóżby to już była za siekanina!

— Gorąco jesteś kąpany, Pawle, — rzekł Jan śmiejąc się, — ale wychłódź się cokolwiek na murawie!

Moment niejaki trwało milczenie. Paweł wzdychał, sapał, naraz zerwał się na równe nogi i rzekł:

— Słuchaj Janie, jak się to wnet nieskończy, to pójdę napowrót, namówię Skirmunta i uderzymy, bo jak widzę, to będzie kobieca wojna.

— Ho! ho! braciszku! nie tak to łatwo. Ciekawym, jakby cię tam Skirmunt powitał... pewno nie po przyjacielsku. Zapomniałeś ty, że wodza słuchać trzeba?

— Hm! ja wiem, że wodza słuchać trzeba. Ale kiedy wódz rzeknie: idź, połóż się i leż jak kawał drewna... czy to słusznie? Wolałbym, aby mi kazał parę razy przez ognisko przeskoczyć.

— Jak oni tam uradzili, — rzekł Jan spokojnie, — jest z pewnością dobrze, bo uważ tylko, cobyś ty z twoją szabelką w Różewie wskórał? Czy chciałbyś nią mech z murów oskrobywać, lub na kamieniach ognia krzesać? Do środka przecież byś się nie dostał.

— Janku! Janku, tyś niedobry człowiek... sam się niecierpliwisz, a mnie niecierpliwość wymawiasz. Zresztą co chcesz... jabym nie wlazł do Różewa? Jakto? Przecież mury nie są tak wysokie, abym z konia na nie wskoczyć nie mógł — a niech no stanę nogą na murze, to już nie będę potrzebował szablą po kamieniach skrobać, bo mi Różewiaki łbów nadstawią.

— Ho! ho! Pawle, łatwiej to wymówić, aniżeli wykonać.

— Tam do djabła, Janku, czyś tak się już od wczoraj zestarzał, że tak mądrze gadasz, niby stoletni dziad?! A tak już potrafisz gębować, że wolałbym się z tobą na szable, jak na języki rozprawić.

— Ty mi się podobasz, Pawełku, z twoją gorączką — ale pamiętaj, że ty raz popadniesz w porządne obroty.

— Tak, tak, Jasinku, zwłaszcza gdy nie będę miał ciebie do obrony, jakto wtedy w Kijowie było. Oj! byłoć mi już duszno nielada!..

— Cóż ci się tam znowu przypomina! To już stare rzeczy, nie warte gadania.

— Stare rzeczy? co? Na złość powiem ci raz jeszcze. Oto idę sobie, patrzę, a tu wali się jakiś Rusin, a ma przy sobie ładną dziewkę. Co warte Rusina, myślę sobie, warte i Polaka. Więc idę prosto do dziewki, chce żartować... a tu łotr Rusin rwie się do szabli, ja znów do mojej i składamy się. Rusinka uciekła i nasyła mi na kark kilku innych. Ha! mój Janie, już mi ręka mdlała, jakeś ty nadbiegł, a te psiawiary byłyby mnie rozsiekały.

— Oj! pewno, pewno, — rzekł Jan kiwając głową, — bo my we dwóch ledwośmy ich rozpędzili.

Rozczulony Paweł ścisnął Jana w milczeniu.

W tem frugnęła strzała i utkwiła w rozwieszonej sukni; chwiejąc się migotała piórem.

Zerwali się młodzieńcy. Jan szybko doskoczył wyjął strzałę, a suknie wysoko w górę podrzucił, dał jej spaść na ziemię, potem obaj szybko pobiegli do oddziału.

Kostrzewski drżącą ręką wziąwszy strzałę, dobył krzesiwa, zapalił nawoskowany knot, a zobaczywszy nacięcia, wyrzeknął z radością:

Skirmuncie! dobre nowiny... Jerzy mówił z Maryą — brama otwarta już czas!

Kostrzewski i Skirmunt odbyli krótką naradę, poczem kilku mężów, między innymi Adam, Skirmunt, Jan i Paweł, zbliżyli się pieszo do zamku. Most był spuszczony, brama uchylona, — mężczyzni szybko weszli do budki strażniczej.

— Cóż to za osoba, co stoi przy bramie, spytał Kostrzewski Jerzego, który ich wprowadził.

— To strażnik, — odrzekł Jerzy.

— Strażnik? a czemuż on nie bronił nam wstępu, przecież niepodobna, aby tak mocno spał, żeby aż nas nie dosłyszał, — rzekł niedowierzając Kostrzewski.

— Tak on śpi mocno, — ale też tam oto, — rzekł Jerzy wskazując na puginał, — uśpiłem go na wieki. A tu pod ścianą leży druga ofiara.

Spojrzeli wszyscy pod ścianę. Tam leżał trup drugiego strażnika. Jerzy pokrótce objaśnił Adama i Skirmunta o położeniu zamku, o sile załogi, w ogóle o wszystkiem, co im było potrzeba. W końcu dodał:

— Marya więc wie o wszystkiem, zabawia Michała u siebie, aby Michał uwagi swej na zewnątrz nie zwrócił. Marya udaje, że jej serce nareszcie dla niego napełnia się przyjaznem uczuciem, nawet, że zezwala na połączenie się z nim. On zaślepiony rozpływa się z radości, nie domyślając się podstępu, nie przeczuwając, że ta radość w coś przeciwnego wkrótce się zamieni... oto patrzcie, widzicie jego łeb kędzierzawy w oświetlonem oknie? — rzekł wskazując przez otwarte drzwi budki palcem na pawilon Maryi.

Kostrzewski spojrzał i w samej rzeczy dojrzał Michała; zgrzytnął zębami, ścisnął rękojeść szabli, zrobił poruszenie, jakby chciał w tę stronę pobiedz, lecz wnet się pochamował. Oczy mając wlepione w okno, stanął na lewej nodze, a prawą skrobiąc z niecierpliwości po ziemi, słuchał w milczeniu, jak Jerzy opowiadał.

— Straż śpi, — mówił dalej Jerzy, — nikt się napadu nie spodziewa, a tem mniej na odpór przygotowany, jeden tylko burgrabia wie o wszystkiem.

— Burgrabia? i cóż burgrabia na to? — zawołał zdziwiony Skirmunt. — Czy przeszedł na naszą stronę?

— Więc burgrabia zdradził Michała? — zawołało kilka głosów.

— Nie lubię zdrajcy! — rzekł Kostrzewski sucho.

— Ani burgrabia Michała nie zdradził, ani nie przeszedł na naszą stronę, — odpowiedział Jerzy, — ale leży w swem mieszkaniu zakneblowany.

— Zakneblowany! powtórzyło kilka głosów.

— Tak zakneblowany. Nie chciałem biedaka zabijać, bo to poczciwy starowina, a zwłaszcza, że się bez tego obejść mogło.

— Dobrze zrobiłeś Jerzy, — rzekł na to Kostrzewski, — że nie rozlewałeś krwi niewinnej. Tylko on — tu wskazał na okno Maryi, — on sam powinien być ukaranym, bo on tylko jest winnym. Ale niestety, to się nie może bez rozlewu krwi obejść, — dodał cichym głosem, jakby sam do siebie.

Głuchy tętent kopyt końskich dał się słyszeć pod murami.

— Już tu są, — rzekł Jerzy, — pójdźmyż więc... w imię Boże!

Opuścili schronienie i postępowali za Jerzym, który ich na korytarz wprowadził. Otworzył on jedne drzwi, weszli do przedsionka — otworzył drugie i weszli do obszernego, słabo oświetlonego pokoju. Ztąd prowadziły drzwi wprost do komnaty, w której się w tej chwili Marya i Michał znajdowali. Tu ich dochodził wyraźnie głos mowy Michała, tak, że każde słówko zrozumieć było można. Z dobytemi szablami stanęli rycerze pod drzwiami, oczekując ogólnego hasła. Adam stanął na przedzie aby mógł pierwszy wpaść do komnaty.

Tak czekali parę minut: nagle most zatętnił i krzyk rozległ się straszliwy:

— Śmierć, śmierć Różewskim!!

* * *

Gdy Michał Maryą opuścił, udał się na swe pokoje, a co się z nim działo, jakie uczucia miotały jego umysłem, trudno wypowiedzieć. Michał rozmiłował się w Maryi do szaleństwa, kochał ją tą miłością, która w razie oporu zamienia się w wściekłość. Jej upór rozżarzał w nim tę namiętność do tego stopnia, że byłby niezawodnie siłą starał się zmusić ją do oddania sobie ręki. Wiedział on bardzo dobrze, że Kostrzewski żyje, że jest w Krakowie, że go tylko niektóre okoliczności tyczące się krajowej służby przy boku króla zatrzymywały. Na wszelki więc przypadek spodziewał się napaści. Oburzała się jego duma na to, że chociaż od pół roku trzymał w swym domu, jeszcze względu nie doznał. Na wszystkie jego serdeczne mowy odpowiadała mu ze wzgardą i milczeniem. Powiadał jej ciągle, że Adam nie żyje, że zginął w Kijowie, a tymczasem obawiał się jego powrotu, który lada dzień mógł nastąpić. Od swoich szpiegów dowiedziawszy się, że Adam wczoraj nocą powrócił, spodziewał się że Adam dopiero najrychlej na trzecią dobę napad wykonać może; — niestety! omylił się w rachubie.

Michał zresztą nie obawiał się bynajmniej Kostrzewskiego, gdyż Różewo było bardzo obronnym zamkiem, strzeżonym przez wielką liczbę łuczników. Dla tego napad Kostrzewskiego wcale Michała nie zajmował, ani go też nie przejmował obawą. W samej rzeczy, gdyby nie podstęp Jerzego, napad na Różewo byłby bezskutecznym.

Adam powrócił, zbliżyła się stanowcza godzina — dłużej czekać niepodobna. Poszedł dzisiaj do niej w tej myśli, aby jej stanowczo, krótko powiedzieć, że w razie oporu, przemocą ją chce nakłonić do oddania sobie ręki, chciał jej

powiedzieć, że taka jest jego wola, że rozkazu swego nie cofnie, że w razie oporu gotów ją skazać na śmierć głodową. Był to zamiar nietrudny do wykonania, bo Marya była w jego ręku, bezbronna. Z takiem postanowieniem wszedł do jej komnaty. Już zbierał i porządkował w głowie myśli, jak jej miał swe zdanie objawić, kiedy Marya uprzedzając go, wzbudziła w nim nadzieję, że i bez surowych środków małżonką jego zostać postanowiła, Michał zachwiał się w swem postanowieniu. Dobrowolne postanowienie Maryi schlebiało nadzwyczajnie jego dumie. Zmiana usposobienia jej, teraz zwłaszcza, kiedy Adam powrócił, była mu nader pożądaną.

Chodząc wzdłuż i wszerz komnaty, sam do siebie rozmawiał to cicho, to głośno, rozkładając przytem rękami:

— Nie spodziewałem się doprawdy takiego obrotu rzeczy! Czyżby to był jaki podstęp? Niepodobna! To, co mówiła, zapewne też i czuła i myślała... O! jestem tego pewny — tak, jestem tego pewny. Dzisiaj więc dowiem się, jak o swym losie postanowiła... tak dowiem się... Ale już mi prawie dała słowo... O! raj się dla mnie otworzy... Ha! a Kostrzewski pęknie ze złości!.. ha! ha! ha!

Tu zaczął się tak dziko śmiać, że się sam siebie przeląkł. Przystanął, spojrzał w okno, zwrócił się napowrót i znów chodząc, mówił, a raczej mruczał:

— Tak, już koniec troskom, zaczynam inne życie, a ona mi je umili — o tak, ona będzie moją... Ha! ha! ha! mój Adamie, zapóźno wróciłeś, już twoje miejsce zajęte. Choć też tu do mnie zajrzysz, to... no! do tego nie przyjdzie, boć ja jeszcze żyję i Maryi tak łatwo nie wydam. Mam i ja jeszcze zdrową rękę i dość ostry miecz, aby cię należycie przyjąć!

Zamyślił się po tej bezczelnej przemowie, głowę opuścił, a uśmiech coraz mu z twarzy znikał. Naraz stanął, ręką otarł spocone czoło i rzekł:

— Jestem mocno wzruszony, jakaś obawa rodzi się w mej piersi.. Lecz kogóż się obawiam? Kostrzewskiego?.. Nie, tego się obawiać nie mam przyczyny... Maryi?... i to nie, bo ona już moja... Nie mam przecież powodu obawiać się!.. jam szaleniec, kiedy mi się szczęście zaczyna uśmiechać, to ja zaczynam kwilić i strachać się. Wstydź się Michale!

Rozśmiał się, uderzył nogą o ziemię, niby sam się łając. Przystąpił do stolika, ujął spory dzban w swoje ręce, a przysadziwszy usta do krawędzi, w momencie wychylił go aż do dna. Miód był stary, mocny. Wnet też Michał uczuł rozlewający się w jego wnętrzu ogień, a z owym ogniem nabierał odwagi.

Skoro czas naznaczony nadszedł, pobiegł Michał z twarzą rozognioną i z bijącem sercem do Maryi. Zastał ją siedzącą, z głową na prawej ręce opartą. Twarz miała spokojną, napiętnowaną mocną rezygnacyą, a oko pałające zwróciła na drzwi, któremi Michał się wsunął. Wszedłszy do komnaty, zbliżył się ku niej, wyciągnął ręce, machnął niemi kilka razy w powietrzu, a potem złożył je jak do modlitwy. Chwilę stał nieruchomy. Marya także nieruchoma siedziała, okiem tylko mierzyła go od stóp do głowy. Ona dzisiaj go się nie obawiała!

Michał przerwał milczenie.

— Maryo! — rzekł — stósownie do twego rozkazu przychodzę nareszcie usłyszeć wyrok ze słodkich ust twoich — wyrok życia lub śmierci. Powiedz, o! powiedz jak najprędzej, nie dręcz mnie dłużej niepewnością, gdyż nie wytrzymam, powiedz, czy zyskam wyrok życia?

Marya westchnęła, spojrzała nań zwrokiem łagodnym, nie uważając w nim już swego dręczyciela, tylko nieszczęśliwą ofiarę... może jeńca... może — trupa. Miała serce czułe... patrząc na człowieka pełnego sił i życia, który miał za chwilę... ach to okropnie.

— Pamiętasz Michale, — rzekła Marya — ileś mi złego uczynił?

— Nie wspominaj mi więcej o przeszłości, — rzekł Michał błagająco, — wiesz, Maryo, czemu to uczyniłem. Wiesz Maryo, że tylko miłość do tego czynu mnie pobudziła. Zapomnij o tem, ja ci przyszłością sowicie przeszłość wynagrodzę.

— O nie Michale, tego już nie wynagrodzisz, nie wrócisz łez, które wylałam, nie przyczynisz życia, które twem okrucieństwem skróciłeś! Michale! twój czyn był srogi, okropny, niegodziwy. Oby ci Bóg na sądzie przebaczył!...

Maryo, nie wspominaj o tem, błagam cię! Będę się odtąd starał umilić ci życie, otoczę cię przyjemnościami wszelkiego rodzaju, szczęściem.

— Nie dla mnie już szczęścia, kiedy Adam...

— Nie żyje, — pochwycił Michał. — Tak, to prawda, to strata dla ciebie nie do wynagrodzenia, strata nie dająca się powetować. Je-

dnakże już go nie wzbudzisz — a ty, Maryo jesteś wolna i zapomnij...

— Ja mam Adama zapomnieć, którego tak kocham?... chcę mówić, którego tak kochałam? Nie tak to łatwo zapomnieć, jak ci się zdaje, Michale. Ale zkąd masz pewność, że Adam nie żyje?

— Zkąd mam pewność? A wszakżeż to już rzecz bardzo znana. Widziano, jak włócznią przeszyty legł pod murami Kijowa, — przyjaciele, którzy trupa Adamowego spuszczali do grobu, powiadali mi o tem pod przysięgą. A nawet znowu... ach! tego nie mogę ci powiedzieć.

Marya patrzała nań ciągle. Była pewną, że Adam żyje, że tu w tej chwili może się już pod murami znajduje. Więc mowa Michała nie zastraszała jej wcale, oburzała ją tylko.

— Powiedz śmiało, — rzekła, — nim... muszę mieć pewność, że jestem wdową.

— Nim?.. nim co? — pochwycił prędko Michał, a oczy zajaśniały mu radością.

— Mów do końca.

— Przed kilku dniami, kiedym wracał od ciebie — rzekł Michał, — ujrzałem na ganku jasność, która mnie tak dalece olśniła, że nie mogłem oczy otworzyć. Wtem słyszę głos nazywający mnie po imieniu. Otwieram oczy i widzę w świetle cień Adama. Patrzał na mnie tak łagodnie, że wszelka obawa znikła mi ze serca. Czego żądasz? pytam. Cień mi odpowiada: jesteś godzien Maryi, opiekuj się nią i uczyń ją szczęśliwą. Gdy to wymówił, wszystko naraz znikło, a ja udałem się do mej komnaty.

To mówiąc spuścił oczy. Marya dobrze wiedziała, że to wierutne kłamstwo, gdyż już wiele razy coś podobnego opowiadał. Zawsze na poparcie twierdzenia, że Adam nie żyje, wynajdywał powiastki o zjawieniu się cienia Adamowego.

— To dziwna — rzecze Marya, — że ja jeszcze nie miałam żadnego widzenia, chociaż go tak szczerze pragnę. Lecz to jeszcze nie całkowity dowód śmierci Adama.

— Jest jeszcze jeden człowiek, którego posłałem do stolicy dla sprawdzenia wieści. Czy chcesz, Maryo, abym go przed ciebie kazał przyprowadzić?

— Któż to jest? — zapytała Marya.

— Mój burgrabia, — rzekł Michał, i sięgnął z kieszeni srebrną piszczałkę, aby zagwizdnąć.

— Co chcesz czynić! — krzyknęła przestraszona Marya. Jej przestrach i obawa była bez granic. Gdyby Michał kazał burgrabiego szukać, gdyby go zawołał przed siebie, czyżby się wszystko nie wydało?

— Zawołam burgrabiego, rzekł spokojnie Michał.

— Ja ci przecież nie zaprzeczam, — rzekła szybko Marya, — i bez tego świadectwa daję twemu słowu wiarę. Wierzę, co powiadasz, i wiedząc, żem wdową, ręką moją mogę dowolnie...

— Rozporządzić? nieprawdaż?... I mnie ją oddasz?...

— Możesz mieć nadzieję.

— Tylko nadzieję!? — rzekł Michał przeciągle.

— Możesz mieć i... pewność.

Wchodząca dziewczyna przytłumiła w Michale wybuch radości. Dziewczyna przybyła na odgłos piszczałki.

— Możesz odejść, — rzekł do dziewczyny.

Dziewczyna wyszła, Marya ochłonęła z przestrachu, będąc teraz już pewną, że Michał burgrabiego nie każe wołać. Ale pewność tę okupiła kłamstwem.

— Więc mogę być pewnym?

-- Powiedziałam.

— Na kiedy naznaczasz dzień ślubu?

— Nie wiem!

— Oby to już być mogło jutro!

— Tak, — odpowiedziała Marya mechanicznie, nie rozumiejąc ani pytania, ani nie rozumiejąc własnej odpowiedzi.

— O! co za rozkosz słyszeć tak cię mówiącą. Wiedząc, że będziesz moją...

— Będę.

— Będziesz? co będziesz? moją? to mi już powiedziałaś.

— Słowa nie cofnę.

— Maryo, Maryo! dręczysz mnie twemi ogólnikami, a unikaniem pewnej, stałej odpowiedzi. Oznacz czas wyraźnie, kiedy będę mógł cię nazwać moją.

— Niedługo!

— Niedługo? kiedy... jutro?

— Tak, może... jutro... może...

— Może? czemu może? Nigdy pewności. Jesteś wolna, jesteś panią swej ręki, więc czemuż tylko może?

Tu uśmiech złowieszczy dał się słyszeć pod

oknem: był to uśmiech Jerzego. Marya zadrżała sądząc, że dramat się rozwija, a Michał doskoczył do okna. Na dworze ćma, że oko wykol; nie mógł dojrzeć, więc zwrócił się na swe miejsce.

— Co to było? — zapytała Marya.

— Pewno straż zamkowa bawi się wesołością, aby snu uniknąć. Ale czy lękasz się Maryo? ty drżysz!.. O nie lękaj się — ta ręka dość silna aby cię obronić, a ta szabla dość hartowna, aby czaszkę najedzcy rozpłatać.

Na słowo „najezdzcy" Marya zbladła. Michał przypisując jej niezwykłą bladość doznanemu przestrachowi, ani nie zwrócił na swe słowa uwagi. Aby Maryi odebrać powód obawy, wyciągnął miecz z pochwy i położył na stole.

— Czyż się jeszcze obawiasz?

— Nie jestem spokojna.

— Tak Maryo, tyś spokojna, tylko mnie w niespokojności zostawiasz.

— Ja?

— Ty!

— Jakto?

— Czemuż nie chcesz napewno oznaczyć czasu, w którym nasze ma nastąpić połączenie?

— Michale, powiedziałam, że może jutro, bo czy człowiek jest w stanie odgadnąć, czy jutra dożyje? Czy może przewidzieć, co się z nim do następnego dnia stanie? Pewno nie, bo wiedza przyszłości tylko w ręku Boga. Lecz, Michale, nie zmuszaj mnie do mówienia, jestem słaba, potrzebuję odpoczynku. Nie oddalaj się jednak odemnie, zostań, siądź tam na siedzeniu i powiedz mi co jeszcze o Adamie... ale mów wiele i długo, gdyż ja nie zdolnam do odpowiadania.

Michał posłuszny siadł naprzeciw niej napawając się jej widokiem. Ujął ją za rękę, lecz mu ją Marya lekko usunęła.

Marya zaś puściła myślom wodze. On coś wspomniał o najezdzcy, czy wiedział o zamierzonym napadzie? Czy się czasem Jerzy nie zdradzi? Czy nie odgrywa z nią tej samej komedyi, którą ona z nim chciała odegrać? Że Michał wiedział o powrocie Adama, słyszała Marya od Jerzego. Spodziewać się więc należało, że i Michał przygotowanym jest na wszelkie możliwe skutki powrotu Adama. Wypadek walki zawsze jest wątpliwy... a Boże broń, gdyby walka wypadła na korzyść Michała, cóżby się z nią stało? Takie myśli snuły się po jej głowie.

Innego rodzaju były myśli Michała, pomimo, że ten sam przedmiot roztrząsały. Sądził, że Kostrzewski stanie za kilka dni do walki, o którą się wcale nie obawiał, bo czyż nie miał dobrego zakładnika? Gdyby się Kostrzewski pod murami pokazał, byłby go natychmiast uwiadomił, że wszelki krok nieprzyjacielski ze strony Kostrzewskiego pociągnie za sobą niechybną śmierć Maryi. Tymczasem jutro Marya z nim się zaślubi... ha! wtedy Kostrzewski już nie ma prawa po co przybywać.

Michał zaczął mówić.

— Chcesz, abym ci mówił o Adamie — cóż ci więcej mam powiedzieć nad to, com już tyle razy powtórzył?

Przestał Michał, czekał chwilę — ale Marya ani nie słyszała jego mowy, i ani jej przez myśl nie przeszło, aby mu miała odpowiedzieć. Michał widząc, że Marya milczy, zaczął znowu dalej mówić:

— Ty milczysz Maryo? O! lubo się poddaję twej woli, jednakże serce mi twem milczeniem zakrwawiasz... wciąż milczysz!

Marya nic na to nie odpowiadała, tylko wzrokiem płomiennym spoglądała na miecz goły, leżący na stole. Nie obawiała się ona o swe życie, tylko o życie męża. Spodziewać się można było, że Adam będzie pierwszym, który wpadnie do jej komnaty. A tak w zapale mógłby ten miecz być dla niego zgubnym.

Dostrzegł jej obawę Michał, lecz sądząc, że się trwoży na widok nagiego miecza, rzekł z uśmiechem:

Zdaje mi się, że cię trwoży widok połyskującej broni, nieprawda Maryo?

— Tak.

— Więc schowam miecz do pochwy.

To mówiąc, schował miecz, postawił go w kącie, potem wrócił, siadł na swem krześle i rzekł:

— Nie potrzebny nam miecz do rozmowy. Nikt mi ciebie wydzierać nie będzie, skoro ty sama zezwalasz na nasze połączenie się. Ciekawym zresztą ktoby się mógł ośmielić?..

(Dalszy ciąg nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

ZŁOTY KOŁOWROTEK.

(Dokończenie.)

Dobrota jeszcze mu coś chciała powiedzieć, lecz zniknął jej z przed oczu, i już go nigdy nie widziała. Wybiegła potem z jaskini, by się znowu światu Bożemu przypatrzeć, i teraz dopiero poznała całą wartość zdrowia. Rzuciła się na ziemię i całowała ją: całowała wysmukłe jodły, i z upragnieniem i ze łzami ręce ku miastu wyciągała, do którego by może była pobiegła, gdyby jej rozkaz starca nie był przykuł do miejsca tego.

Tymczasem w zamku dziwne się rzeczy działy. Podróżni bowiem przynieśli nowinę, że książę z wojny powraca. Wszyscy cieszyli się na dobrego pana, gdyż z pani nie bardzo byli zadowoleni. Złobogę i jej matkę jednak strach cokolwiek opanował, jak też przyjazd wypadnie. W kilku dniach przybył książę. Z radosnem obliczem wybiegła mu naprzeciwko Złoboga, którą on z uniesieniem przycisnął do swego serca. Teraz się już nie obawiała, żeby ją miał poznać.

Wyprawiono ucztę, gdyż z książęciem wiele gości przybyło, którzy u niego wypocząć i kilka dni na wesołej zabawie przepędzić chcieli. Złoboga, która przy boku Dobromiła siedziała, nie mogła się dosyć na niego napatrzyć; okazały książę podobał jej się i była rada, że jej zbrodnia tak dobrze ukryta.

Po skończonej uczcie zapytał się Dobromił swej mniemanej żony:

— Jakżeś czas przepędzała, moja miła? Zapewne przędłaś?

— Zgadłeś — odrzekła obłudnie Złoboga. Lecz mój stary kołowrotek popsuty. Przybył tu chłopiec i miał na sprzedaż prześliczny złoty kołowrotek; ten w miejsce starego kupiłam.

— Musisz mi go pokazać — rzekł książę, wziął ją za rękę i wyprowadził z sali. Poszła z nim do komnaty, gdzie kołowrotek była schowała i pokazała mu go. Dobromiłowi bardzo się kołowrotek podobał.

— Usiądźno, Dobrotko — rzekł — prządź! Radbym cię znowu tak widział.

Nie dała się długo prosić Złoboga i niebawem usiadła do kołowrotka. Nacisnęła nogą na stopień, by kołu dać obrót, lecz wtem zabrzmiało coś z kołowrotka:

Panie, nie daj wiary jej,
Pełno fałszu, zdrady w niej.
Obłudnie twa żoną nazwała się,
Twą własną zabiła, zdradziła cię.

Złobogę jakby piorun uderzył; książę wzdrygnął się i powiódł zdziwiony oczyma po całej komnacie, by zobaczyć, zkąd piosenka ta pochodziła, lecz gdy nikogo nie spostrzegł, rozkazał; iżby Złoboga dalej przędła. Drżąc, usłuchała rozkazu. Ledwo ruszyła kołem aż tu znowu zabrzmiało:

Panie, nie daj wiary jej,
Pełno fałszu, zdrady w niej.
Zbrodniczo zabiła siostrzyczkę swą,
Nieszczęsną do lasu zawlekła ją.

Będąc prawie bez zmysłów, chciała Złoboga uciec od kołowrotka, lecz książę, który nagle po jej rysach strachem wykrzywionych poznał, że to nie jego kochana Dobrota, schwycił ją za rękę, zmusił do siedzenia i rozkazał groźnym głosem, by dalej przędła. Jeszcze raz obróciło się koło i po trzeci raz zabrzmiało:

Wskocz, na konia, panie, wskocz,
Pędząc w las zielony zbocz,
Żona tam w jaskini twa
W sercu tęsknem boleść ma.

Teraz opuścił Dobromił nikczemną Złobogę, wypadł z komnaty na dziedziniec i natychmiast najskorszego konia osiodłać rozkazał, co słudzy przerażeni okropnem wejrzeniem swego pana, jak najspieszniej wykonali, tak iż prawie tej samej chwili stanął przed Dobromiłem koń osiodłany, który ledwo ostrogą dotknięty, biegł przez góry i doliny, ledwo kopytami dotykając ziemi.

Przybywszy do lasu, nie wiedział książę gdzie szukać jaskini. Jechał więc prostą drogą. Gdy tak kawał drogi ujechał, sarna biała przebiegła mu drogę; koń jej się lęka, odskakując na prawo i pędząc z swym panem przez las, stawa nakoniec u skały. Dobromił zsiada z konia, uwięzuje go u drzewa, chcąc pieszo szukać Dobroty w lesie, i wdrapawszy się na skałę, widzi pomiędzy drzewami coś błyszczącego. Ciekawy, coby to było, wdrapuje się dalej i stawa przed jaskinią. Lecz jakaż radość dla niego, gdy wchodząc, Dobrotę swą zobaczył! Rzuca się na szyję, ściska, całuje ją i wpatruje się w jej oblicze, i woła:

— Gdzież ja miałem oczy, żem ciebie, aniele, od twej szatańskiej siostry odróżnić nie mógł!

— Cóż ty wiesz o mojej siostrze? Czy ci kto powiedział co zaszło? — zapytała go się Dobrota, która o kołowrotku nic zgoła nie wiedziała.

Opowiedział jej więc książę wszystko, a ona znowu mu opowiedziała, co się po jego odjeździe z nią działo. — Od czasu tego gdy mnie starzec opuścił — mówiła, kończąc opowiadanie, mały chłopiec przynosi mi jedzenie.

Potem usiedli razem na darninie, a ona przyniosła mu na drewnianym talerzu owoc do posilenia. Zjadłszy, zabrali talerz i kubek drewniany ze sobą na pamiątkę, i zeszli ze skały.

Dobromił posadził swą prawdziwą żonę przed siebie na konia i pojechali do domu.

Słudzy jego już go oczekiwali, by mu donieść, co się w jego niebytności wydarzyło; lecz spoglądali na siebie z zadziwieniem, gdy ujrzeli, że ich pan tę samę panią ze sobą wiedzie, którą krótko przedtem wraz z jej matką zły duch przed ich oczyma w czarne chmury był uniósł. Książę, widząc ich niespokojność, opowiedział im krótko zdarzenie z swą żoną i wszyscy jednomyślnie cieszyli się, dziękując Bogu, że bezbożna siostra i jej matka otrzymały zasłużoną karę.

Złoty kołowrotek zniknął. Dobrota wyszukała swój stary i przędła pilnie na koszule dla swego kochanego małżonka. Nikt też w całym kraju tak cienkich koszul nie miał i nikt nie był tak szczęśliwym, jak książę Dobromił.

(Koniec.)

KLARA
— CZYLI —
ZWYCIĘZTWO CNOTY.
POWIEŚĆ.

NAPISAŁ

X. KANONIK SZMID.

(Ciąg dalszy.)

— Słowo miłości nie wyszło wprawdzie z ust jego, lecz łatwo poznać mogłam, że czuł to samo co i ja, odpowiedziała Klara. Przyrzeczeń nie czynił mi wcale, tylko nadmienił coś, jak szczęśliwy mógłby być ze mną; lecz zdawało mi się, jakoby żałował tego wyrażenia, i że spełnienie tego życzenia sam mienił być niepodobnem.

— Tak też jest biedne dziecię, rzekła matka z boleścią. Ojciec tego młodzieńca jest najbogatszy dziedzic z okolicy, dobry i poczciwy, lecz bardzo chciwy na pieniądze. Nie do-

zwoliłby nigdy, aby syn jego ożenił się z ubogą dziewczyną. Syn zmuszony jest nawet uważać przy swym wyborze na majątek, gdyż po śmierci ojca musi objąć jego dobra i wypłacić młodsze rodzeństwo. Zdaje się więc, lube dziecię, iż Bóg nie chce, byś na tej drodze twe szczęście znalazła. Powiadam ci to z boleścią w sercu, lecz powinnam ci to powiedzieć. Nie pozostaje ci nic innego, jak zapomnieć zupełnie o nim.

— O jak to boleśnie! droga matko, rzekła dziewczyna z łzą w oku.

— Bóg doda ci siły, lube dziecię, odpowiedziała matka. Będziemy go wspólnie błagały o jego świętą pomoc. Kiedy wymaga po tobie tej ofiary, doda ci męztwa do jej spełnienia. Wierzaj twej matce, która cię tak kocha, iżby swe życie za ciebie oddała. Słuchaj rad moich, bo one najlepsze dla ciebie. Jedyne, co ci uczynić wypada, jest, unikać spotkania się z Rudolfem. Lubo ci przykrem się to zdaje, jest to właściwie najłatwiejszym wyleczenia się środkiem. Bo rozważ, gdybyś teraz częściej z nim widywać się miała, bez nadziei zawarcia z nim związków małżeńskich, jakieżby tego były skutki? Jego obraz wyryłby się tem głębiej w duszy twojej, a gdy on potem odda, lub będzie zmuszony oddać rękę jakiej bogatej dziedziczce, wówczas twe serce, lube dziecię, poniosłoby na wieki głęboką ranę. Przy twojej zbyt może głębokiej tkliwości stałabyś się na całe życie nieszczęśliwą. Lecz to nie jest jeszcze najgorszem, coby się zdarzyć mogło. Wymieniłam tylko mniej znaczące kolce róży, o których wprzódy wspomniałam. O moja Klaro! nietylko nieszczęśliwą, ale nawet shańbioną staćbyś się mogła, gdybyś miała widywać się z Rudolfem bez mojej wiedzy. Taka znajomość bez widoków blizkiego małżeństwa, jest w ogóle nierozważną, nierozsądną, niebezpieczną, i nie może dobrego wziąść skutku. Nie chcę mówić więcej. Drżę na samo wspomnienie tych niebezpieczeństw, a łzy gorące zlewają moje oblicze. O Klaro, usłuchaj głosu kochającej cię matki; zlituj się nad sobą i nademną, i unikaj Rudolfa! Przyrzecz mi to święcie, jeżeli chcesz, bym odzyskała mą spokojnosć. Proszę cię z tkliwością kochającej matki, która cię pod sercem nosiła i swemi wykarmiła piersiami; zapomnij o nim! Uczyń zadosyć mym prośbom.

Klara pocałowała rękę matki, przytuliła głowę do jej łona i rzekła cichym głosem: „Przyrzekam".

— Lecz jeszcze jedną mam prośbę, droga Klaro, której spełnienie przykrzejszem ci jeszcze będzie, drogie dziecię, mówiła matka dalej. Czuję, iż wiele wymagam po tobie. I nie czyniłabym tego, gdybyś jakąśkolwiek mieć mogła nadzieję. Proszę cię, poprzestań myśleć nawet o nim. Gdybyś nie miała mocy wyrwać gwałtem z serca twego jego obrazu, wtenczas ta tęsknota pozbawiłaby cię wszelkiej swobody i wesołości twego wieku. Wszak dawniej byłaś tak wesołą, jak ptaszyna wśród zielonych krzewów, a teraz wszak wszystko zmieniło się dla ciebie. Zachowaj więc twe serce w czystości, lube dziecię, a twoja spokojność, twoja cnota, i twój honor, zostaną ocalone. Przyrzecz mi tu przed tym obrazem niepokalanej dziewicy, iż zapomnisz zupełnie Rudolfa.

—Przyrzekam ci święcie, droga matko, rzekła Klara, przyciskając z niewymownem rozrzewnieniem rękę matki do serca. Nigdy nie splami żadne nieczyste uczucie serca dziecięcia twego.

— A teraz dosyć o tem, mówiła Kunegunda. Na jedną tylko jeszcze pomnij radę moją. Zdaj się we wszystkiem na Boga, módl się często, módl się gorliwie, oddaj w ręce jego los twój i swe życzenia. Obcowanie z Bogiem zastąpi ci wszelkie ziemskie rozkosze, którychbyś nie mogła kosztować bez narażenia twego honoru, a nawet zbawienia. A jeśli przyniesiesz chętnie Bogu tę ofiarę, nie pozostawi on jej bez nagrody; będzie się opiekował tobą, jako czuły ojciec swem dziecięciem; a ponieważ małżeństwa w niebie się kojarzą, sprowadzi ci on małżonka, który cię uszczęśliwić zdoła, bo Bóg litościwy nietylko że nam w niebie niepojęte gotuje rozkosze, lecz i w tem krótkiem życiu ziemskiem niejednem darzy nas szczęściem.

— O biedne dziecię, mówiła matka dalej, spoglądając z rozrzewnieniem na swą córkę, która w tej chwili z wielkiego wzruszenia większą jeszcze niż zwykle jaśniała pięknością. Jakże wielkie niebezpieczeństwa grożą twojej niewinności. Jak wielu nastawać będą na nią. Ale nie wszyscy będą tak skromnymi, i z takim się z tobą obchodzić będą szacunkiem, jak Rudolf. Nie jeden będzie ci podchlebiał, wychwalał twą urodę, lekkomyślnemi obsypywał pochwały, bawił się dowcipami i żarcikami, i wyszydzał twą niewinność i czystość. Uciekaj od takich mężczyzn jak od wężów, których tchnienie nawet jest jadowitą trucizną; nie wdawaj się z nimi w rozmowę, jak niegdyś Ewa z wężem. A gdyby taki człowiek ośmielił się najmniejszego zbliżenia ku tobie, usuń się od niego z dziewiczą powagą i skromnością, i okaż mu wyraźnie twą od-

razę. Wtenczas stronić będzie przed tobą jak nocne ptastwo przed słońcem. Bo niewinność ma przy sobie anioła, który ją strzeże. Czcij tego anioła stróża i nie zasmucaj go, by cię nie opuścił, bo z nim opuściłoby cię twe szczęście. Ceń twą niewinność wyżej nad wszystkie skarby tego świata. Niewinność i wstydliwość są większą ozdobą dziewczyny, niż złoto i drogie kamienie.

Po tych słowach matka wstała, uściskała swą córkę, pomodliła się jeszcze chwil kilka w tych miejscach, poświęconych pobożności, i obiedwie wróciły do domu wzruszone, lecz Klara o wiele spokojniejsza i weselsza niż pierwej.

Nazajutrz Klara poszła znowu do zdroju. Przechodziła w myśli słowa swej matki, a przy swym bystrym rozsądku uznała łatwo ich słuszność, i postanowiła święcie iść za jej radami, i wydrzeć z serca swego nieszczęsną skłonność do Rudolfa. Upadła na kolana, złożyła pobożnie ręce, podniosła oczy ku niebu i tak się modliła: „O Boże, który nie gardzisz pokornem błaganiem twych dziatek! Ty tak zrządziłeś, iż najmilsze życzenia serca mego spełnionemi być nie mogą. Dopomóż mi, bym ci z nich chętnie uczynić mogła ofiarę. A Ty Bozki Zbawicielu, który na tym tu obrazie przedstawiasz się jako miluchne dziecię mym oczom, a któryś jest wyniesiony w niebiesiech na prawicy Ojca Twego, spełnij na mnie słowa, które wyrzekłeś gdy byłeś pomiędzy ludźmi: „O co będziecie prosili Ojca mego w imię moje, danem wam będzie". A Ty Matko Zbawiciela, przeczysta dziewico, która najbliższą jesteś tronu Boga, przyczyń się za mną, bym czysta i nieskażona przebyła tę pielgrzymkę ziemską, a potem w niebie rozkosze Twoje dzielić mogła. Przyczyń się, by słowa Twego Bozkiego Syna spełniły się na mnie: „Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą."

ROZDZIAŁ II.

Porwanie Klary.

Przygoda z wilkiem, którego zaniesiono na zamek hrabiowski, rozniosła się wkrótce po całej okolicy. Klara, która wzrosła tak samotną i nieznaną, jak kwiatek w pustej dolinie, stała się teraz przedmiotem powszechnej uwagi, bo każdy ciekawy był widzieć młodą dziewczynę, ocaloną z szponów wilka przez śmiałego myśliwca. „Otóż to ona, to ona," odbijało się często o jej uszy gdy była w kościele, jedynem, publicznem miejscu, na które uczęszczała. To przypatrywanie jej się było bardzo nieznośnem dla skromnej dziewicy. Mimo woli stała się przedmiotem powszechnej uwagi i mimo wiedzy uznaną została za najpiękniejszą dziewczynę w całej okolicy. Niektórzy powiadali jej to w oczy, ale rozsądna matka mówiła: Nie wierz im Klaro i nie pysznij się z tego. Choćbyś nawet była tak piękną, jak oni ci powiadają, wielkiem byłoby to głupstwem, gdybyś sobie co z tego robić miała. Piękność nie nadaje człowiekowi żadnej wartości, jest ona w porównaniu z cnotą i czystością, próżnem i przemijającem dobrem. Przekwita i więdnieje jak kwiatek, i po niewielu latach znika zupełnie. Jest ona nawet bardzo niebezpiecznym darem Bożym. Nie jednej dziewczynie stała się ona przyczyną wielkiej boleści. — Miej się więc na baczności lube dziecię, i błagaj Boga codziennie, by cię uchronił przed ściganiem złych ludzi. To, o czem już ci tak często obszerniej mówiłam, można zamknąć w tych kilku słowach, które Jezus powiedział swym uczniom: „Czuwajcie i módlcie się."

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TANIE LECZENIE DOMOWE ROZMAITYCH CHORÓB.

(Ciąg dalszy.)

Majeran, Marum Siriacum, ziele ogrodowe jest letnie i zimowe; zapach ma korzenny, używają go do kiełbas i potraw różnych. Liście i nasienie czyszczą krew i mózg; pomagają do trawienia, skuteczne są na choroby maciczne i szum w uszach. Olejek majeranowy z sadłem zajęczem jest osobliwym sekretem na ciężkie rodzenie.

Maczek polny, Papaver erraticum, kwiat jego sprawuje sen, pomaga na kaszel, na malignę, na płucie krwią i cieczenie krwi z nosa; a zewnętrznie na ból głowy. W aptekach robią z niego tynkturę dla dzieci, gdy im się zęby kłują.

Marchwica polna, Daneus, rośnie przy cierniach, bardzo znajoma. Odwar kwiatu porusza urynę; i zwierzętom w tej mierze pomaga.

Maruna ziele, utrzymywane w ogrodach, kwiat i ziele, mają moc czyszczącą, pobudzającą miesięczne i oczyści po porodzeniu, łożysko i płód martwy wyprowadza.

Melisa cytrynowa, Cytrata, kadzidłem zwana, która żółto kwitnie, a liście potarte wydają zapach cytrynowy, na zimę potrzeba ją przykrywać. Pomaga na ból głowy i żołądek i defekta maciczne.

Mięta ogrodowa i dzika, Monte, służy żołądkowi, macicy, na czkawkę i womity.

Mlecz żółto kwitnący, Taraxacum, w pręcie pełny soku białego; liście jego zewnętrznie przykładane uśmierzają kolki w boku, a sok z liści pomaga na duszności, ciężkie rodzenie i pokarm mnoży, a zewnętrznie użyty pomaga na ból w uszach.